GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1935 R.

NR. 8 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 8

1935 R.

15 — IV

CZESŁAW BOBROWSKI

LOSY REFORMY ROLNEJ

Postulat przyśpieszenia zahamowanej w latach ostatnich reformy rolnej musi być wysunięty na pierwszy plan, w związku z akcją oddłużeniową i zamierzeniami inwestycyjnemi.

Dzieje reformy rolnej w Polsce są wymownym przykładem tego, jak rozmaicie w ramach tych samych ogólnych norm prawnych, w ramach tej samej podstawowej ustawy, może przebiegać regulowany przez nie proces gospodarczy. Dwie grupy czynników sprawiły, iż w dziedzinie reformy rolnej przebyliśmy daleką drogę od śmiałych zamierzeń do skromnych poczynań. Pierwsza—zaznaczająca się głównie w latach ostatnich już — to zmiana warunków gospodarczych, to kryzysowe trudności. w rozwiązywaniu praktycznych problemów związanych z przebudową ustroju rolnego. Druga, w mojem przekonaniu znacznie poważniejsza, to procesy społeczne i psychologiczne, które stały się tłem do skierowania reformy rolnej na tor, który z niewielką tylko przesadą można nazwać ślepym torem.

Zmiany w warunkach gospodarczych, a mówiąc prościej, kryzys, zaciążył oczywiście i zaciążyć musiał na przebiegu reformy rolnej w latach ostatnich. Zaciążył, nietylko w postaci zredukowania środków państwowych, przeznaczonych na jej cele, ale i w postaci zmniejszenia środków, posiadanych przez drobną własność i bezrolną ludność wiejską. a więc przez ewentualnych reflektantów na kupno ziemi. Równolegle z tem, pewnemu osłabieniu uległ pęd do kupna ziemi ze strony drobnych rolników, mających przed oczyma sytuację. w jakiej znalazły się warsztaty powstałe z przebudowy ustroju rolnego, przeciążone zobowiązaniami, opartemi o wysoką cenę ziemi.

Wydaje mi się koniecznem stwierdzić, że spośród wymienionych czynników jedynie element zubożenia wsi jest czynnikiem, że się tak wyrażę, „danym"—zjawiskiem nieuchronnem w tym sensie, że przy największych nawet wysiłkach polityki rządowej mogło ono być złagodzone tylko w nieznacznym stopniu, i to oczywiście w drodze posunięć, nie związanych z przebudową ustroju, lecz leżących w dziedzinie ogólnej polityki gospodarczej w dobie kryzysu. Słowem, z punktu widzenia zagadnienia przebudowy ustroju, zubożenie wsi jest czynnikiem objektywnym, z którym należy się liczyć, bez możności bezpośredniego i szybkiego oddziałania na jego zmianę. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa pozostałych dwu elementów.

Na temat naszej gospodarki skarbowej (obejmując tem pojęciem również to, co nie jest formalnie budżetem, ale jest wydatkiem lub kredytem ze skarbu Państwa), utrwaliło się przekonanie, że strona wydatkowa została zredukowana niemal wyłącznie do pozycji sztywnych, nie dających się zmienić. Tak jest i tak nie jest. Tak jest, jeżeli uznamy, że zespół zadań, które Państwo podejmuje się spełniać, nie może ulegać żadnej rewizji, tak nie jest, jeżeli staniemy na stanowisku, odmiennej hierarchji tych zadań. W tym sensie też, w tej płaszczyźnie, nie mógłbym się pogodzić z poglądem, że zredukowanie świadczeń Państwa na rzecz przebudowy ustroju rolnego miało charakter nieuchronnej konsekwencji kryzysu. Gdybyśmy ustalili inną hierarchję celów polityki państwowej, to świadczenia na rzecz akcji przebudowy ustroju rolnego mogłyby się znaleźć w ramach tych wydat-

ków, których się nie skreśla, natomiast mogłyby odpaść jakieś inne zadania, które dziś pokrycie w wydatkach państwowych znajdują. Słowem w mojem przekonaniu redukcji środków państwowych na cele reformy rolnej nie można uważać za automatyczny niejako, nieuchronny rezultat kurczenia się możliwości skarbu Państwa, lecz raczej za wynik pewnego (zapewne zresztą podświadomego) wartościowania celów polityki gospodarczej, przyczem cel przebudowy ustroju agrarnego postawiony został na dość odległem miejscu.

Jeszcze prościej przedstawia się sprawa „odstraszającego przykładu parcelantów“ czy gospodarstw skomasowanych. Gdyby kwestja ceny ziemi i kosztów komasacji ujęta została w przeszłości inaczej, względnie gdyby rewizja obciążeń, jakiej dokonywa się dziś, przeprowadzona została wcześniej i w szerszym zakresie — nie mielibyśmy dzisiejszej, istotnie „odstraszającej“ sytuacji.

Reasumując, nie sądzę, ażeby zmiany objektywnych warunków gospodarczych można było uważać za czynnik, który w pełni zdecydował o zahamowaniu tempa procesu przebudowy agrarnej. Nie sądzę, tem bardziej, że nawet w dobie ostatniej, kiedy już rozpoczęła się pewna rewizja stosunku do zagadnienia, polityka państwowa nie wykorzystała takich możliwości, jak możliwość organicznego związania oddłużenia z parcelacją, o czem już wielokrotnie na łamach Gospodarki była mowa. Tem większą zatem rolę skłonny jestem przyznać procesom społeczno - psychologicznym.

Najbardziej na losach reformy rolnej zaciążyły warunki, w jakich uchwalona była ustawa i motywacja, wysuwana wówczas na plan pierwszy. W oczach szerszej opinji zagadnienie przebudowy agrarnej zrosło się integralnie z pojęciem ostrego radykalizmu społecznego, zatraciło charakter posunięcia gospodarczego. Późniejsze lata przyniosły nieuchronną reakcję, nieuchronną odwrotną falę w opinji społecznej. Zrodziło się w Polsce i rozpowszechniło nastawienie, które kiedyś już nazwałem demagogją gospodarczą, — nastawienie, które wyraża się w nieufnem podchodzeniu do tych postulatów, które równolegle z motywacją gospodarczą uzasadniane są momentami społecznemi. Więcej nawet, uważane jest za swego rodzaju cnotę poświęcanie interesu społecznego (określanego w tych wypadkach jako interes grupowy). Drugim momentem, który obok wspomnianego już traktowania przebudowy agrarnej, jako posunięcia uzasadnionego społecznie, ale niebezpiecznego, a co najmniej kosztownego gospodarczo, wybija się na plan pierwszy w stosunku szerokiej opinji do zagadnienia reformy rolnej — jest podkreślanie stosunkowo małych możliwości reformy rolnej wobec niewielkiego już w tej chwili stanu posiadania wielkiej własności. W rezultacie szeroka opinja miejska (a należy pamiętać o tem, że normalna przewaga opinji miejskiej jest w naszych warunkach zaostrzona) uważa zagadnienie reformy rolnej za jedno z dalszych i mniej ważnych zadań, jeżeli się doń nie ustosunkowuje negatywnie.

Źródła takiego stanu umysłów leżą bezwątpienia przedewszystkiem w niedostatecznem spopularyzowaniu podstawowego dla problemu faktu, że produktywność drobnej własności jest większa, a nie mniejsza od produktywności warsztatów folwarcznych, że dochód z ha jest w Polsce, podobnie jak i w większości innych krajów, większy w gospodarstwach drobnorolnych, że kierunek produkcji typowy dla drobnej własności, a mianowicie hodowla, nie zaś gospodarka zbożowa, bardziej odpowiada geograficznym warunkom Polski, że system gospodarczy, oparty o nakład pracy a nie kapitału, stanowiący istotę gospodarki drobnorolnej, zgadza się lepiej z naszemi warunkami strukturalnemi. Słowem — niedostatecznie jest rowinięta w szerszej opinji świadomość, że z punktu widzenia gospodarczego za przyśpieszeniem procesu przebudowy agrarnej przemawiają równie ważkie argumenty, co z punktu widzenia demograficznego i społecznego.

Na kształtowaniu się opinji zaciążyło również i to, że wieś nie ma właściwie swej reprezentacji intelektualnej, że ci, którzy wieś formalnie reprezentują, nie są z nią w istocie rzeczy związani. Czołowi przedstawiciele rolnictwa w Polsce nietylko, że należą z reguły prawie do największej własności rolnej, ale w znacznej części mogliby być uważani za należących do grupy kapitalistów, którzy tylko częściowo kapitały swoje lokują w ziemi, a w równym, jeżeli nie w większym stopniu w przemyśle czy poprostu we wkładach bankowych. Ten element, który nazwać możnaby było kapitałem ruchomym, niezwiązanym organicznie z żadną dziedziną wytwórczości, nie jest oczywiście ową reprezentacją intelektualną rolnictwa, która byłaby niezbędna dla wytworzenia lepszego zrozumienia zagadnienia wsi. Jeżeli chodzi o reformę rolną, to roli informatora szerszej opinji nie zdołali czy nie zechcieli odegrać również i inni reprezentanci.

Wreszcie „gwoździem do trumny“ sprawy reformy rolnej stała się, w większości wypadków mimowoli, a niekiedy świadomie, polityka podwyżki cen płodów rolnych. Za klasyczne niejako stanowisko większości osób, posiadających pełną legitymację do reprezentowania rolnictwa i informowania ogółu o jego interesach, uznać można następujący pogląd: z punktu widzenia interesów rolnictwa najważniejszą rzeczą jest zwiększenie jego dochodów poprzez podwyżkę cen rolnych, natomiast reforma rolna jest zadaniem dalszem, gdyż globalnego dochodu rolnictwa nie zwiększa, postępuje naprzód samoczynnie niezależnie od polityki, i wreszcie objąć może stosunkowo niewielki zasób ziemi. Z tych trzech ostatnich względów całkowity wysiłek Rządu i całkowita uwaga rolnictwa powinna być skupiona na jednem naczelnem zadaniu — na zdobywaniu zwiększonego udziału w dochodzie społecznym.

Jak widać z powyższego, reforma rolna nie została zaatakowana z frontu. Nie zakwestjonowano jej celowości, a tylko postawiono ją na drugim planie w stosunku do bieżących zadań konjunkturalnych. Dlatego też tylko w kilku słowach postaram się przypomnieć podstawowe założenia, uzasadniające konieczność przebudowy agrarnej w Polsce.

Punktów wyjścia dla postulatów przebudowy struktury agrarnej dostarcza nam analiza stosun-

ków demograficznych i struktury agrarnej wsi. Olbrzymie przeludnienie wsi nie znajdujące ujścia, ani w emigracji, ani w powolnym rozwoju przemysłu, narzuca konieczność podniesienia gęstości zaludnienia rolniczego na terenach zajętych dziś przez wielką własność, tak, ażeby możliwie odciążyć tereny o największem nasileniu przeludnienia. Istnienie z jednej strony drobnych gospodarstw, zbyt drobnych w większości i zupełnie karłowatych w znacznym odsetku, z drugiej zaś obszarów większych, dochodzących niekiedy do rozmiarów latyfundjów, jest w sprzeczności z warunkami geograficzno - ekonomicznemi, które wyznaczają Polsce, kierunki produkcji właściwe, dla małego gospodarstwa, a nieodpowiednie dla gospodarstw większych, z reguły nastawionych na wytwórczość zbożową. Ubóstwo kapitałowe przy nadmiarze rąk ludzkich narzuca tenże sam kierunek rozdrobnienia warsztatów, z postawieniem na pierwszym planie zadania upełnorolnienia warsztatów karłowatych, a wspomniane już wyżej i powszechnie znane zjawisko wyższego dochodu z ha w małych warsztatach niż w wielkich, stanowi jaskrawe potwierdzenie lepszego przystosowania małych gospodarstw do objektywnych warunków gospodarczych. Przeciwstawianie temu faktowi dajmy na to większego plonu z hektara w gospodarstwach folwarcznych, czy wogóle większego poziomu kultury rolnej w tych gospodarstwach, jest dla ekonomisty naiwnością, gdyż z punktu widzenia gospodarczego jedynym miernikiem i sprawdzianem wartości gospodarczej warsztatu jest jego ogólna (a nie odcinkowa), produktywność, a tak zwana kultura rolna jest tylko o tyle wartością, o ile prowadzi do zwiększenia rentowności, w przeciwnym zaś razie jest jedynie technicznym luksusem.

Powyższe dwa momenty: ludnościowy i ustrojowo - agrarny, są powszechnie znane i stoją poza sporem. Mniej doceniane, aczkolwiek nie mniej ważne, są dwa inne. Gospodarstwa folwarczne, jako nie dostosowane pod względem kierunków produkcji do warunków geo-politycznych współczesnej Polski, są niewątpliwym ciężarem dla całości gospodarstwa społecznego. Wszystkie bolączki, przeżywane zresztą nietylko przez rolnictwo, jak problem zaległości podatkowych, zadłużenia, itd., występować muszą na terenie wielkiej własności ze szczególną ostrością, domagając się perjodycznego bezmała sanowania wielkich warsztatów rolnych (podobnie jak to ma miejsce z niektórymi warsztatami wielkoprzemysłowymi). Sanowania, oczywiście w drodze przerzucania strat na inne odcinki gospodarstwa społecznego. I wreszcie ostatni moment. Wstydliwie pomijany naogół, ale który z punktu widzenia historji wysunie się na plan pierwszy. Moment ten—to dążenie do stworzenia zdrowszej struktury społeczno - zawodowej w Polsce. Lwia część państw, powstałych po wojnie światowej, dokonała reformy agrarnej, jako pierwszego niemal aktu nowej władzy, dokonała w imię zasadniczego celu polityczno - państwowego: w imię związania warstwy chłopskiej z państwem, w imię jej materjalnego wzmocnienia i usunięcia tych tarć, które przy istnieniu wielkiej własności nieuchronnie pomiędzy polityką państwową a dążeniami mas chłopskich powstawać muszą. Z tem zagadnieniem łączy się również poruszona poprzednio sprawa reprezentacji mas wiejskich przez jej wielkorolnych sąsiadów, sprawa zastąpienia tej reprezentacji inną, właściwszą i uzależnioną od mas wiejskich. Warstwa, stanowiąca przeżytek historyczny i występująca w roli, która przez jednostki może być spełniana najszczerzej i najuczciwiej, ale na grupie jako całości nie może „dobrze leżeć" — musi zejść z pola, otwierając drogę dla swoich następców, których dziś, kiedy rolnictwo reprezentowane jest przez wielką własność, niema jeszcze tak wielu, ale którzy znajdą się z chwilą ustąpienia reprezentantów dotychczasowych.

Co przeciwstawia się temu punktowi widzenia? Zgodnie z tem, co mówiłem wyżej, przedewszystkiem dwa momenty. 1) Zasób ziemi, która może być rozparcelowana, jest nietylko ograniczony, ale nawet dosyć skromny, 2) rozdrabnianie wielkich gospodarstw postępuje niezależnie od naszej polityki, postępuje samoczynnie, stopniowo. Innemi słowy — nie przeceniajmy reformy rolnej z jednej strony, z drugiej zaś nie martwy się o nią zanadto, dziś, kiedy tyle jest innych kłopotów, bo i tak na drodze żywiołowej posunie się ona naprzód. Obydwa twierdzenia powyższe oparte są na jaskrawych błędach. Zestawienie *żywiołowości* rozdrabniania wielkich gospodarstw z *ograniczonym zapasem ziemi* narzuca polityce państwowej aktywną postawę. Narzuca konieczność ujęcia procesu obrotu ziemią w ręce Państwa. Przy nieograniczonym zapasie można byłoby zostawić sprawę żywiołowemu rozwiązaniu. Przy ograniczonym zapasie — polityka państwowa, ani przez chwilę nie może spuszczać oka z tej sprawy, w obawie, że proces żywiołowy może prowadzić do rozwiązań niewłaściwych, dając np. przewagę parcelacji sąsiedzkiej, (w formie rozbudowy gospodarstw wielko chłopskich), nad upełnorolnieniem małorolnych.

Rzekomo ograniczone możliwości reformy rolnej to tylko kwestja umowy, co mamy rozumieć przez słowo „ograniczony". Jeżeli nikt nie uważałby za skromny efekt wciągnięcia paruset tysięcy ludzi ze wsi do przemysłu — to dlaczego stworzenie paruset nowych zdrowych warsztatów rolnych mielibyśmy uważać za efekt skromny. Na tle efektów polityki podwyżki cen rolnych, a więc tej polityki, która ostatnio przeciwstawiana była polityce przebudowy ustroju rolnego, jako najpilniejsze, bezpośrednie zadanie — tem drastyczniej występuje doniosłość akcji reformy rolnej. W przeciwieństwie do tych problematycznych efektów przyśpieszenie procesu parcelacyjnego dać może wsi rezultaty oczywiście ograniczone i tylko cząstkowe, ale zato wpełni realne. Bo wpełni realnem jest upełnorolnienie warsztatu karłowatego, czy zapewnienie warsztatu pracy dzisiejszemu bezrolnemu chałupnikowi.

I jeszcze jeden moment. Jest iluzją, albo świadomem wprowadzaniem w błąd, suponowanie, że odkładając intensywniejszą akcję w zakresie reformy rolnej na później, zachowujemy dziś w tej dziedzinie swojego rodzaju neutralność. Nawet w okresie najbardziej ograniczonych planów parce-

lacyjnych, polityka państwowa oddziaływa na kształtowanie się stosunków, ale oddziaływa w kierunku odwrotnym od pożądanego. Chodzi mianowicie o kwestję cen ziemi. Od szeregu lat polityka państwowa jest czynnikiem sprzyjającym utrzymaniu wysokich cen ziemi, i dopóki nie wkroczy na odmienną drogę, dopóty nolens volens rolę taką odgrywać będzie. Nawet po dostosowaniu cen ziemi do ogólnego wskaźnika spadku cen, ceny te byłyby, względnie są zbyt wysokie, gdyż praetium afectionis z jednej strony, a żywiołowy głód ziemi z drugiej, stale podciągają powyżej poziomu, na którym w płaszczyźnie gospodarczej powinny się one kształtować. Prostym dowodem, że tak jest właśnie, jest porównanie wieloletniej rentowności kapitału w gospodarstwie rolnem, z kapitałem inwestowanym w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Zadaniem polityki państwowej jest zneutralizowanie działania szczególnie silnych w tej dziedzinie czynników poza gospodarczych, jest obniżenie cen ziemi tak, ażeby nowonabywcom zapewnić rentowność kapitału, ażeby utrzymać współmierność pomiędzy dochodowością gospodarstw, a ich zadłużeniem z tytułu parcelacji, ażeby zapobiedz ogałacaniu wsi z kapitału, i sprowadzaniu parcelanta do roli wyrobnika pracującego na wierzycieli.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa do poruszenia. Czy moment dzisiejszy nadaje się, czy pozwala na prześpieszenie akcji parcelacyjnej czy ta akcja naprawdę może być uważana za aktualną. Nie z punktu widzenia potrzeb. Z tego punktu widzenia jest ona stale aktualną w sposób palący. Każdy rok opóźnienia przynosi pogorszenie struktury demograficznej i gospodarczej wsi, każdy rok pogłębia niepożądane procesy społeczne i psychologiczne na wsi. Ale czy z punktu widzenia możliwości daje się dziś pomyśleć przyśpieszenie parcelacji? Nietylko daje się, ale pod wieloma względami jesteśmy w momencie najkorzystniejszym. Nie dotyczy to w pełni jedynie zagadnienia uruchomienia środków skarbowych, aczkolwiek w tej sprawie na wstępie artykułu zaznaczyłem, iż w mojem przekonaniu i tu istnieją możliwości. Natomiast punktem wyjścia dla przyśpieszenia w tej chwili procesu parcelacyjnego, jest w tej chwili zagadnienie oddłużeniowe. Zadłużenie wielkiej własności nie może być uregulowane z pominięciem drogi likwidacji warsztatów przedłużonych, z pominięciem organicznego związania oddłużenia z parcelacją. Problem ten niejednokrotnie był na łamach Gospodarki omawiany, i dlatego ograniczam się tu do stwierdzenia, że niewykorzystanie akcji oddłużeniowej dla przebudowy ustroju agrarnego byłoby równoznaczne ze zmarnowaniem jedynej szansy, jedynego plusu, jaki daje kryzys, zmarnowaniem możliwości zlikwidowania przerostów w sposób społecznie i gospodarczo celowy. Ostatnie posunięcia w naszej polityce gospodarczej, posunięcia idące w kierunku podejmowania robót inwestycyjnych, stanowią jednocześnie nowy punkt wyjścia, który może być wykorzystany dla akcji przebudowy ustroju rolnego. Użycie środków, które Państwo przeznacza, względnie przeznaczy na roboty inwestycyjne na wsi, przedewszystkiem dla urealnienia przebudowy ustroju agrarnego — oto postulat, który na tle dzisiejszej sytuacji konjunkturalnej i analizy struktury społeczno - gospodarczej wsi wydaje mi się czołowem zadaniem naszej polityki gospodarczej na lata najbliższe.

KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

KONSEKWENCJE RÓWNANIA WDÓŁ

Dotychczasowe równanie wdół zwiększyło tylko istniejące dysproporcje gospodarcze.

Nerwem życia gospodarczego jest zysk. Kiedy zyski maleją, życie to zaczyna słabiej pulsować, a wkońcu zamierać. Twierdzenie to jest powszechnie prawdziwe t. zn. odnosi się do wszelkich ustrojów gospodarczych, jakiebyśmy sobie mogli wyobrazić. Między np. ustrojem komunistycznym a kapitalistycznym zachodzi ta główna różnica, że w pierwszym wypadku cały zysk społeczny zagarnia i dysponuje niem państwo, w drugiem zaś prywatne jednostki. Jeden i drugi system jednak może się rozwijać i rosnąć w zamożność tylko wtedy, gdy wykazuje zdolność do osiągania zysków.

Zysk przedsiębiorcy zależy w zupełności od tego, czy zdoła on sprzedać wyprodukowany towar, czy też usługi za cenę przewyższającą łączną sumę poszczególnych składników kosztów produkcji. Niema nigdy okresu, w którymby wszyscy przedsiębiorcy realizowali zyski. Pewna ich część zawsze ponosi straty i bankrutuje. Tak samo w okresie kryzysu istnieją prosperujące przedsiębiorstwa. Zarówno pomyślność zatem jak i kryzys są przeciętnemi. Gdy większość przedsiębiorstw prosperuje, mamy do czynienia z pomyślnością, pomimo tego, że znaczna ich ilość bankrutuje. Podobnie gdy większość ponosi straty, mamy do czynienia z kryzysem, choćby wiele innych przedsiębiorstw realizowało zysk.

Istotną dla rentowności przedsiębiorstw jest nie bezwzględna wysokość cen, lecz ich wzajemny do siebie stosunek.. Gdyby równolegle ze wzrostem czy też ze spadkiem ceny wyprodukowanych towarów rosła względnie malała wysokość wszystkich składników kosztów produkcji, to ruch ten byłby dla przedsiębiorców, z punktu widzenia rentowności, zupełnie obojętny. Ruch cen jest dlatego niesłychanie ważny z punktu widzenia rentowności, ponieważ zmienia wzajemne proporcje różnych cen. Realizacja zysków jest w okresie wzrostu cen ułatwiona z tego względu, że rosnące ceny redukują stałe koszty produkcji, zmienne zaś

koszty nie nadążają za wzrostem cen. Okres spadku cen zabija rentowność, ponieważ koszty stałe nie spadają wcale, albo też bardzo opornie, koszty zmienne zaś z pewnem opóźnieniem.

Wszystkie ceny pojęte w najszerszem tego słowa znaczeniu ustawicznie fluktuują. Jedne rosną, drugie spadają. Kiedy przeciętna tych ruchów wykazuje tendencję zwyżkową, mówimy o wzroście poziomu cen, odwrotnie zaś o spadku tego poziomu. Poziom cen raz rośnie, drugi raz zaś spada, ułatwiając i utrudniając naprzemian osiąganie zysków. Znamy jednak okresy, w których wszystkie ceny zupełnie wyraźnie idą wgórę, i inne okresy kiedy wszystkie ceny wyraźnie spadają. Okresy te są bez żadnej wątpliwości okresami rozprzężenia gospodarczego z tego powodu, że w czasie ich trwania narastają stale dysproporcje. Dlatego też w okresie ogólnego wzrostu cen jest nakazem chwili wzrost ten zahamować. Tak samo i w okresie ogólnego spadku cen musi się robić wszystko, żeby się temu procesowi przeciwstawić.

Wzajemny stosunek różnych cen jest niemożliwym do opanowania. Zupełnie realną propozycją jest jednak wpływanie na bezwzględną wysokość wszystkich cen równocześnie. Wiadomo, że można wywołać inflację t. zn. kazać wszystkim cenom iść równocześnie wgórę przez prosty zabieg drukowania banknotów. Tak samo można wszystkie ceny równocześnie spychać wdół przez stałe i drastyczne ograniczanie obiegu. Można wkońcu manewrować w ten sposób, żeby przeciętna tych cen ani nie rosła, ani też nie spadała, lecz oscylowała nieznacznie około pewnego oznaczonego poziomu. Ten ostatni właśnie stan rzeczy pozwala różnym cenom wahać się względem siebie w sposób wolny od wszelkiego sztucznego skrępowania i powoduje narastanie najmniejszej ilości dysproporcyj; a co ważniejsze, pozwala tym dysproporcjom z chwilą, kiedy dojrzeją do pewnych rozmiarów, automatycznie wygasnąć.

Cena złota od pięciu przynajmniej lat stale rośnie t. zn. ceny towarów wyrażone w złocie stale spadają. Cena złota rosła najbardziej gwałtownie w odniesieniu do surowców. Końca wzrostu ceny złota nie widać. Zanim ceny złota się ustabilizują, może minąć drugie pięć lat. Przyczyny wzrostu ceny złota są niesłychanie interesujące, ale stwierdzenie tych przyczyn samego faktu wzrostu ceny złota ani o włos nie zmieni.

Polska, pomimo tego że jest krajem wybitnie surowcowym, wybrała politykę obrony waluty złotej. Znaczy to, że, od pięciu lat całe życie gospodarcze musi produkować w warunkach stale spadających cen, za czem idzie, że realizacja zysków jest coraz trudniejsza względnie, że od pięciu lat ponosimy coraz większe straty.

Na drodze spychania cen wdół, a jak się to u nas mówi, równania na obniżone ceny rolne, odniósł rząd większe sukcesy niż jakiekolwiek inne państwo na całym świecie. Wszystkie ceny spychać wdół równocześnie jest zupełnie realną propozycją. Potrzeba tylko do tego bardzo silnej ręki. Zachowanie jednak właściwych proporcyj w tym procesie jest zadaniem przewyższającem możliwości ludzkie. Charakteru potrzeba do tego może jeszcze więcej niż inteligencji. Trzeba mianowicie nie ulegać w tej pracy żadnym wpływom i nie kierować się nawet swoim własnym egoizmem.

Na specjalnie ciężką próbę jest się wystawionym z chwilą, kiedy w procesie spychania cen wdół natrafia się na coraz bardziej sztywne elementy. Trzeba krok po kroku sztucznie interwenjować we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Wymaga to coraz nowej powodzi ustaw i rozporządzeń, w której nie sposób się nie zgubić; musi się pozostawiać coraz więcej i coraz ważniejsze problemy swobodnemu uznaniu administracji państwowej. W ciągu pięciu lat kroczenia po tej drodze istniejące dysproporcje nie tylko że nie zniknęły, ale się pogłębiły. Znalazło to wyraz w powszechnie już uznanych bolączkach:

1) Na czele ich kroczy rosnąca klęska bezrobocia, stwarzająca specjalnie dla młodego, wchodzącego w życie pokolenia, tragiczną wprost sytuację.

2) Drugiem następstwem spadku rentowności jest deficyt budżetowy istniejący pomimo redukcyj wydatków z jednej strony oraz wzmożonego nacisku podatkowego z drugiej strony.

3) Wspomniany pod 2) nacisk podatkowy przerodził się w fiskalizm, który rujnuje zdolne skądinąd do produkcji warsztaty oraz uniemożliwia powstawanie nowych przedsiębiorstw, dostosowanych do warunków ogólnej nędzy.

4) Poza fiskalizmem bezpośrednim, podatkowym wystąpił jeszcze niesłychanie groźny fiskalizm pośredni we formie nieproporcjonalnie wysokiej ceny wszelkich towarów i usług dostarczanych przez państwo, a zupełnie niezbędnych dla funkcjonowania życia gospodarczego, tak jak np. taryfy kolejowe. Niewiele karteli okazało się pod tym względem tak oporne jak samo państwo. Stąd można z całą stanowczością określić deflację przeprowadzaną przez biurokrację jako wypędzanie djabła belzebubem.

5) Daleko posunięta dekapitalizacja życia gospodarczego wywołana brakiem należytej amortyzacji, przymusowym postojem narzędzi produkcji, nieuskutecznianiem niezbędnych remontów, nadzwyczaj niskim poziomem nowych inwestycyj, tezauryzacją, niemożnością zużytkowania w zdrowy pod względem finansowym sposób przyrostu wkładów bankowych i oszczędności. Dekapitalizacja wywołana długim i głębokim spadkiem cen, jest faktem rzucającym się w oczy nawet laikom. Poprostu trudnoby wymyślić bardziej radykalny i gruntowny sposób zabijania kapitalizacji w samym zarodku jak tolerowanie i podsycanie długotrwałego spadku cen. Powoływanie się na nienaruszoną substancję wkładów bankowych i oszczędności jest nieporozumieniem. O nienaruszalności wkładów nie decyduje bowiem ich papierowa wysokość, lecz wartość aktywów będących ich zabezpieczeniem.

6) Podkopanie sił żywotnych aparatu kredytowego na skutek deprecjacji aktywów instytucyj finansowych. Wkładca może spać spokojnie, nie dlatego żeby jego pieniądze były dobrze ulokowane i niezdeprecjonowane, lecz ponieważ stanowią

one bezpośrednie zobowiązanie państwa w wypadku instytucyj publicznych, względnie istnieje pewność, że rząd ze zrozumiałych powodów nie pozwoli upaść żadnej większej prywatnej instytucji finansowej. Kapitaliści natomiast, którzy nie ulokowali swoich funduszów we formie wkładów lub w papierach publicznych, lecz na hipotekach, w akcjach i t. p. stracili bądź całą substancję swego kapitału, bądź też jej znaczną część na skutek różnego rodzaju ograniczeń egzekucji, przymusowych konwersji, oddłużenia oraz narastania należności publicznych, którym przysługuje pierwszeństwo zabezpieczenia. Co więcej uruchomienie nawet tej zdeprecjonowanej substancji kapitałowej jest praktyczną niemożliwością.

Wyliczone powyżej bolączki, będące bezpośredniem następstwem długotrwałego i głębokiego spadku cen oraz zanikającej rentowności, zostały pogłębione stosowaniem metod sprzecznych z zasadą dostosowywania się do spadających cen:

1) Na ich czele stoi nadmiernie rygorystyczne ograniczanie importu sprzeczne z dążeniem do obniżenia cen przemysłowych, zwłaszcza skartelizowanych, do poziomu cen rolniczych. Sprzeczność ta jest zasadniczym powodem powstania t. zw. nożyc cen. Nożyce te są w znacznej mierze wytworem interwencjonizmu państwowego.

2) Podtrzymywanie przez państwo ze środków publicznych zbankrutowanych przedsiębiorstw, rzekomo ze względów socjalnych. Polityka taka jest sprzeczna zarówno z zasadą równoważenia budżetu, jak też zwiększa ona ostatecznie bezrobocie. Podtrzymywani bowiem przez państwo bankruci utrudniają zdrowym przedsiębiorstwom, stwarzając nielojalną konkurencję.

3) Wydatkowanie olbrzymich sum na zupełnie bezskuteczne podtrzymywanie cen rolnych będące w rezultacie jedynie niesłychanie krzywdzącem uprzywilejowaniem nielicznych stosunkowo warsztatów mających najłatwiejszy dostęp do korzystania z dobrodziejstw tej formy interwencjonizmu państwowego. Metoda ta jest sprzeczna zarówno z zasadą równoważenia budżetu, jak i dostosowywania się do spadających cen światowych.

4) Opieranie eksportu w coraz wyższej mierze na różnych formach dumpingu kosztem konsumentów wewnątrz kraju, którzy muszą płacić kilkakrotnie wyższe ceny niż odbiorcy zagraniczni. Sprzeczność taka sama jak pod 3).

5) Stwarzanie ogólnej niepewności prawnej na skutek wdzierania się interwencjonizmu państwowego we wszystkie dziedziny życia. Interwencjonizm ten jest źródłem powodzi pośpiesznie redagowanych ustaw i rozporządzeń. Tej masy przepisów nikt nie jest w możności opanować. Jeżeli się uwzględni przy tem, że pozostawiają one administracji państwowej szeroką swobodę uznania, to nietrudno zrozumieć, jakie pole dla nadużyć taki stan prawny otwiera. Tego rodzaju stan prawny jest sprzeczny z koniecznością przywrócenia zaufania potrzebnego dla powrotu ożywienia oraz wzrostu przedsiębiorczości.

Wszystkie wymienione powyżej bolączki i sprzeczności są przedmiotem stałej troski zarówno rządu jak i społeczeństwa. Troski te nie mogą się jednak przerodzić w czyny, ponieważ wszelkie energiczniejsze środki zaradcze musiałyby w krótkim czasie stanąć w kolizji z podstawowemi założeniami aktualnej polityki gospodarczej.

Zwalczanie bezrobocia wymaga pomnożenia środków finansowych, a nie ich dzielenia. Interwencjonistycznem dzieleniem można je tylko wciąż dalej zmniejszać, ponieważ kapitały rentownie zatrudnione odciąga się tą drogą na cele chwalebne ale zupełnie nierentowne. Przerzucanie ciężarów publicznych ze wsi na miasto również się mija z celem, ponieważ miasta mniej wprawdzie niż wieś uginają się pod ciężarem fiskalizmu, ale są również stanowczo przeciążone. Potrzebna jest natomiast radykalna obniżka ciężarów publicznych połączona z radykalną zmianą całego systemu ich wymierzania i ściągania. Ale na to również potrzebne są duże środki finansowe, któremiby można zastąpić ewentualny przejściowy spadek wpływów. Popieranie kapitalizacji i umożliwianie aparatowi kredytowemu normalnego fruktyfikowania wkładów jest równoznaczne z zahamowaniem spadku cen i przywróceniem przedsiębiorstwom warunków rentowności. W tym kierunku znowu niewolno nic robić, ponieważ spychanie cen wdół jest podstawą całego programu gospodarczego. Zrezygnowanie z rygorystycznej reglamentacji importu oraz dumpingowego eksportu jest również niemożliwe, ponieważ nie rezerwy złota są fundamentem stałości złotego, ale właśnie ta specyficzna polityka handlowa. Przywrócenie stanu pewności prawnej jest też wykluczone, jak długo istnieje konieczność stosowania daleko posuniętego interwencjonizmu.

W którąkolwiek się zatem stronę zwrócimy stajemy wobec kwadratury koła. Możliwe są pewne drobne posunięcia, ale jest zgóry wykluczone, żeby mogły one wiele zmienić w istniejącej sytuacji. Posunięcia te są zresztą robione. Są one spokojne, zrównoważone, umiarkowane i świadczą o nadzwyczajnem opanowaniu nerwów. Nastrój ten jest nietrudny do zrozumienia, jeśli się weźmie pod uwagę niesłychanie pod każdym względem obwarowaną pozycję tych, którzy te posunięcia robią. Pewnemi drobnemi rezultatami może się również ta spokojna polityka wykazać. Cała rzecz w tem, że na doprowadzenie w ten sposób zadania do końca potrzeba będzie jeszcze kilku dobrych lat, w ciągu których niewiadomo co się stanie, bo dno jest wciąż ruchome i tempo narastania nowych problemów przewyższa znakomicie tempo problemów rozwiązywanych. Problemy już nawet raz rozwiązane plączą się spowrotem i to jeszcze bardziej niż na samym początku. Jedynie decyzja zahamowania dalszego spadku cen, może stworzyć platformę dla bardzo nawet aktywnej polityki gospodarczej prowadzącej w szybkiem tempie do wyrównania starych dysproporcyj bez stwarzania nowych. Pozytywny program, którego osią stałaby się stabilizacja cen oraz przywrócenie w związku z tem rentowności, wymaga jednak specjalnego rozwinięcia.

UWAGI

W POSZUKIWANIU TERENÓW POD OSADNICTWO

Pojęcia kształtujące naszą społeczną myśl ekonomiczną, mimo, iż mamy za sobą zgórą 15 lat samodzielnej polityki gospodarczej, w wielu wypadkach są jakimś dziwnym anachronizmem w stosunku do rzeczywistości. Niejednokrotnie trudno się doszukać istotnych źródeł ich pochodzenia, — wiele z nich stało się utartemi frazesami głęboko wkorzenionemi w mentalność szerokich warstw społeczeństwa; przyjęte one zostały bądź jako dogmaty dla polskiej polityki gospodarczej, bądź też stały się one postulatami, poddawanie których w wątpliwość grozi utratą popularności względnie nasuwa posądzenie o służenie obcym celom.

W zakresie polityki populacyjnej należy do tych zjawisk legenda o wielkich możliwościach osadnictwa na kresach wschodnich. Za źródła utrzymania się tej legendy uważać można w dużej mierze tradycję dawnej kolonizacji „dzikich pól", jak również, jeżeli chodzi o przyczyny bardziej bliskie naszym czasom, — to oddziaływa tu przykład naszego zachodniego sąsiada, nakazujący przeprowadzenie kolonizacji terenów narodowościowo różnych. Zapominamy jednak, że nasze województwa wschodnie są dziś dość gęsto osiadłe, przyczem i o tem trzeba pamiętać, że rozpiętość różnic w gęstości zaludnienia dawnego poznańskiego i dzielnic zachodnich Rzeszy Niemieckiej była znacznie większa, niż naszych obecnych kresów w stosunku do pozostałych okręgów Polski. W tem świetle również odmiennie musi się przedstawiać problem „polonizacji" naszych ziem wschodnich drogą osadnictwa ludności rdzennie polskiej.

O wyborze terenów pod osadnictwo wydają się rozstrzygać trzy momenty: gęstość zaludnienia rolniczego, oraz cele gospodarcze i polityczne, które pragnie się tą drogą osiągnąć.

Wskaźnikiem dla stosunków ludnościowych na wsi może być porównanie ilości ziemi użytkowanej rolniczo będącej w posiadaniu wielkiej i małej własności. Przeciętna dla całej Polski w tym wypadku wskazuje, że w posiadaniu większych gospodarstw prywatnych oraz związków prawa publicznego jest 24% ogółu ziemi użytkowanej rolniczo. Od tych cyfr przeciętnych dwa okręgi wybitnie się różnią wykazując znaczny wzrost obszaru będącego w posiadaniu większej własności rolnej. Są to województwa poleskie (32% w użytkowaniu gospodarstw większych) oraz....... poznańskie i pomorskie, które wykazują, że 47% ziemi użytkowanej rolniczo jest w posiadaniu większych właścieli ziemskich. Inne dzielnice wschodnie jak Wileńszczyzna (22%) Wołyń (19%), województwa południowo - wschodnie (28%) nie odbiegają daleko od przeciętnej dla całej Polski, a zatem nie są terenami, które ze względu na swą strukturę agrarną bardziej niż inne dzielnice mogą wchodzić w rachubę jako obszary nadające się pod osadnictwo.

Pominąwszy Polesie, które ze względu na swe warunki przyrodnicze musi tworzyć oddzielne zagadnienie, występuje na pierwszy plan Wielkopolska i Pomorze jako dzielnice posiadające największe zapasy ziemi. Są to grunta zajęte przez większe gospodarstwa, które drogą parcelacji mogą stworzyć podstawę dla szerszej akcji osadniczej, a więc nietylko opartej o sąsiedzką parcelację pomiędzy ludność miejscową.

Wielkopolska i Pomorze mają opinję, iż są jedynemi dzielnicami Polski, które posiadają zdrową strukturę agrarną. Wniósłbym do tej opinji poprawkę, że miały zdrową strukturę w okresie tworzenia się jej, a obecnie mają ją stosunkowo najzdrowszą w porównaniu z innemi dzielnicami Polski. Jednak struktura rolna w poznańskiem taka, jaką ona jest tam dzisiaj, dostosowana została do struktury gospodarczej Rzeszy Niemieckłej, w której skład ta dzielnica wchodziła. Wyszedłszy zatem poza obręb analizy miejscowej, partykularnej, a rzucając na to zagadnienie okiem z dalszej perspektywy, stwierdzić można, że struktura rolna poznańskiego była zdrową wówczas, gdy była dostosowaną do współżycia z przedwojennym niemieckim organizmem gospodarczym oraz z jego centrem — Berlinem. Odwracając to twierdzenie i patrząc na poznańskie jako na dzielnicę Rzeczypospolitej Polskiej, powiedzieć musimy, że rolnictwo tamtejsze nie ma zdrowej struktury, gdyż nie znalazło jeszcze właściwego miejsca w polskim organiźmie gospodarczym.

Niewątpliwą przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że struktura agrarna tej dzielnicy została tak zbudowaną, by mogła być spichlerzem zbożowym dla wielkich miast (Berlin) i dla armji niemieckiej na wypadek wojny. Temu przeznaczeniu musiało odpowiadać popieranie znacznych, silnych ekonomicznie, gospodarstw folwarcznych. Dziś dzielnice te w granicach Rzeczypospolitej zadań tych nie posiadają i nie mogą posiadać ze względu na swe położenie geograficzne, a nastawione przez swe wielkie gospodarstwa na produkcję zbożową, nie mając zbytu na nie w kierunku przedwojennym, są tylko źródłem koncepcji polityczno - gospodarczych w typie interwencji zbożowej, szkodliwych względnie nieistotnych dla pozostałych dzielnic.

Polityka gospodarcza w stosunku do b. dzielnicy pruskiej może być tylko jedna: wyrażać się ona musi w dążeniu do gospodarczego zespolenia jej z całością Polski. Jest to równoznaczne z likwidacją tych form gospodarczych, które kiedyś kultywowane przez rząd zaborczy, obecnie nie odpowiadają zmienionym warunkom ogólnym.

Obok momentu likwidowania form gospodarczych, które z punktu widzenia interesu Polski współczesnej są zupełnie nieistotne, wysuwa się sprawa natury bardziej politycznej. Jest to dzielnica najsłabiej zaludniona rolniczo, a nie trzeba przeceniać osłabienia naporu Niemiec na wschód. I dlatego jako jedyna forma przeciwdziałania temu występuje możność stworzenia na pograniczu

silnego i zdrowego rdzennie polskiego osadnictwa rolnego, na co tamtejsze stosunki populacyjne wyraźnie pozwalają. Tylko tą drogą jest możliwe wytworzenie muru ludzkiego przeciw „Drang nach Osten". Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o znaczeniu, jakie dla zagadnienia parcelacji w Wielkopolsce odgrywać może obecna akcja kolonizacyjna przeprowadzana przez rząd „Trzeciej Rzeszy", i jakie następstwa polityczne u chłopa wielkopolskiego może mieć ochrona wielkich obszarów rolnych w Polsce.

Pozostają do odparcia kontr-argumenty: niszczenie gospodarcze najwyżej stojącej pod względem kultury rolnej dzielnicy, ściąganie jej do poziomu „nędzy galicyjskiej", marnowanie kapitałów zakładowych będących w doskonałych budynkach, inwentarzu i t. p. Notatka musi być krótka, a więc tylko sygnalizuję kierunek odpowiedzi: racjonalnie przeprowadzana parcelacja nie niszczy kultury rolnej — przeciwnie może ją podnieść; większy dochód społeczny daje jeden hektar ziemi w gospodarstwie małem niż wielkiem; przesądem jest dziś, że przemysł rolny może istnieć tylko w oparciu o produkcję folwarczną; kapitał zawarty w inwentarzach żywych i martwych może być zużytkowany właściwie przy racjonalnie prowadzonem osadnictwie, a rezydencje nadają się znakomicie na pomieszczenia dla instytucyj o charakterze publicznym (przykład: Rydzyna, Kórnik). Może wprawdzie być poddane w wątpliwość „celowe" zużytkowanie samochodów, służby domowej i piwnic (myślę o ich zawartości); jedyną jednak, rzeczywiście nadającą się do dyskusji, jest sprawa dobrych budynków gospodarczych, właściwych dla dzielnicy wielkopolskiej, budynków których wartość przy rozparcelowaniu majątków może być poniekąd zmarnowana, ale — jak istnienie zamku królewskiego nie może skłaniać od utrzymania monarchji, — jak dobry stan magazynów broni z czasów wojen napoleońskich nie może być przyczyną dla utrzymania tego rodzaju uzbrojenia w armji mającej ambicję zwycięstwa, — tak i istnienie budynków folwarcznych nie może być argumentem dla utrzymania folwarków, jeżeli za zlikwidowaniem ich przemawiają względy społeczne, ogólno gospodarcze i polityczne.

Kazimierz Siestrzyński.

DEMOGRAFJA A GOSPODARKA

Zagadnienie przyrostu naturalnego w Polsce i wynikających stąd konsekwencyj gospodarczych jest nadal jednem z *czołowych* zagadnień. Nie stało się ono natomiast zagadnieniem *osiowem* dla kształtowania polskiej polityki gospodarczej.

Postawienie tego problemu w płaszczyźnie czysto klasycznych zasad ekonomicznych (vide Krzyżanowski A. — Pauperyzacja Polski współczesnej) nie znalazło szerokiego oddźwięku, a tem bardziej nie oddziałało na konstrukcję polityki gospodarczej.

W „Gospodarce Narodowej" problem ludnościowy był dyskutowany zaraz w pierwszym roku istnienia pisma. Starły się wtedy poglądy zwolenników regulowania przyrostu (Rychliński: „Przeludnienie, bezrobocie a polityka restrykcji ludnościowej" Nr. 15 i „Przeludnienie i przyrost naturalny" (Nr. 17) i obrońców tezy o potrzebie silnego przyrostu naturalnego (Szempliński — „Przeludnienie i nadprodukcja" (Nr. 16).

Dyskusja ta urwała się. P. Szempliński na kontr-replikę p. Rychlinskiego nie odpowiedział. W ten sposób, niestety, nie zostało przez dyskusję wyjaśnione czy mamy do czynienia z różnicą zasadniczych założeń (hierarchji celów) czy też poprostu z wadliwością rozumowania.

Obecnie, po 4 latach, p. Szempliński znów porusza to zagadnienie („Procesy demograficzne a sytuacja gospodarcza Polski" (Nr. 6). Tym razem p. Szempliński stara się z problemu ludnościowego uczynić zagadnienie osiowe. Swobodny układ gospodarczy prowadzi, zdaniem p. Sz., do pauperyzacji ludności, ta zaś pauperyzacja grozi niebezpieczną konsekwencją zahamowania przyrostu naturalnego. Tymczasem w płaszczyźnie politycznej stosunek ten powinien być odwrócony.

„Polska powinna i musi utrzymać wysoki poziom przyrostu naturalnego. Nakazuje to nam nasza sytuacja geo-polityczna". W tym celu rewizji i korekturze winien ulec podział dochodu społecznego, albowiem „wadliwy podział dochodu społecznego w dobie obecnej grozi zahamowaniem przyrostu naturalnego, pomimo, iż objektywne możliwości produkcyjne polskiego gospodarstwa narodowego wcale tego nie wymagają". „Dlatego sądzę — pisze dalej p. Szempliński — że do podziału dochodu społecznego muszą być wniesione korektury, któreby usunęły groźbę zahamowania przyrostu naturalnego, obniżenia zdrowotności i biologicznej żywotności. Dla osiągnięcia tego celu nie należy przebierać w środkach, a w szczególności nie szanować różnych tabu".

Argumentacja p. Szemplińskiego nie wydaje mi się przekonywującą. Silniejszy przyrost środków rzeczowych w Polsce aniżeli liczby ludności wykazany na przykładach budownictwa mieszkaniowego i produkcji roślinnej nie wydaje mi się bymógł być traktowany jako stwierdzenie dużej objektywnej możliwości produkcyjnej gospodarstwa polskiego. Po pierwsze — mamy tu włączony okres „prosperity", kiedy inwestycje opierały się w znacznym odsetku o kapitał zagraniczny, powtóre budownictwo mieszkaniowe jest inwestycją szczególnie faworyzowaną, nie charakteryzuje ono więc przeciętnych możliwości produkcyjnych, lecz celowo, sztucznie, zintensyfikowanych. Gdyby nawet bez zastrzeżeń przyjąć ocenę wzrostu produkcji środków żywności, to i stąd nie płynąłby jeszcze żaden osąd dla możliwości i celowości dalszego przyrostu naturalnego. Poprostu oznacza to, że w ciągu badanego czasokresu produkcja w Polsce mogła wyżywić ludność w Polsce. Ale przecież żywność jest tylko częścią dochodu społecznego. Nie wystarczy tu troskać się czy przyszłe pokolenia będą miały co zjeść. Będą one musiały i mieszkać, ubierać się, kształcić i t. d., a wreszcie, co najważniejsze, będą miały prawo do pracy, nie mogą otrzymać odpowiedzi, że są zbędne, że brak dla nich warsztatów pracy.

P. Szempliński sądzi, że usunie te zjawiska polepszony podział dochodu społecznego. Podobne stanowisko zajął on już 4 lata temu („Ja twierdzę, że kwestję bezrobocia należy stawiać nie w płaszczyźnie wytwórczości, ale podziału"). Zgadzam się, że sprawa podziału dochodu społecznego posiada dla omawianych tu spraw doniosłe znaczenie. P. Szempliński radzi tu nie przebierać w środkach i nie szanować różnych tabu. Dobrze, ale zadajmy w takim razie pytanie, jak ma ten lepszy podział dochodu społecznego wyglądać, jakie to tabu nie mają być szanowane.

I, zdaje mi się, że tu dojdziemy do wyjaśnienia sobie, że postawienie w hierarchji celów przyrostu naturalnego wyżej, a podporządkowanie mu procesów gospodarczych, jest fałszywe. Jakżeż więc będziemy korygować dochód społeczny?

Czy może zaduży jest udział państwa w dochodzie społecznym? A w takim razie jakie wydatki zmniejszać? Na oświatę? Przy istniejącym już dzisiaj analfabetyźmie to jest niemożliwe. Odwrotnie, ze względu na prężność narodową musimy dźwigać kulturę coraz wyżej. Na obronę narodową? Ależ właśnie względami obrony narodowej motywuje m. in. p. Szempliński potrzebę dużego przyrostu naturalnego. A może na opiekę społeczną? Powstałaby w takim razie dziwna sprzeczność: z jednej strony postulowalibyśmy duży przyrost naturalny, z drugiej strony powodowalibyśmy jego zmniejszenie, boć redukcja wydatków na opiekę społeczną spowodowałaby wzrost śmiertelności, a więc spadek przyrostu naturalnego.

Wadliwy stosunek podziału pomiędzy przemysł i rolnictwo, dłużnika i wierzyciela? Ale, gdybyśmy te wszystkie zwichnięcia równowagi wyprostowali, gdybyśmy np. powrócili do stanu r. 1928, to przypomnijmy sobie, że i wtedy, w okresie pomyślnym, mówiło się o bezspornem zjawisku *przeludnienia,* nie tylko o konsekwencjach przyszłego przyrostu, ale o już istniejącem, realnem, ciążącem na gospodarstwie przeludnieniu. A więc problem był i jest trudniejszy. To nie jest kwestja równomierności tempa przyrostu dóbr rzeczowych i dochodu społecznego z tempem przyrostu naturalnego, to jest sprawa cięższa — wypompowanie przez gospodarstwo polskie rezerwoaru, który już w 1928 r. był obfity. To nie jest więc sprawa podnoszenia produkcji polskiej o 1,5% rocznie, lecz odsetek ten powinien być o wiele większy.

Ale mógłby ktoś powiedzieć, że jest to ujęcie staroświeckie, w którem naczelnym celem jest dobrobyt jednostki. Dobrze, rozpatrzmy zagadnienie przy przyjęciu za naczelny cel rozwoju narodu i państwa. Potęga i rozwój państwa opiera się tu o 3 podstawowe elementy: ilość ludzi, jakość ludzi, środki rzeczowe. Liczba ludzi jest niewątpliwie fragmentem zagadnienia i sądzę, że każdorazowo istnieje jeszcze optimum wzajemnego stosunku tych 3 elementów. Nie można przyrostu naturalnego uważać za podstawę siły, inaczej dziwne byłoby, że Chińczycy nie są panami świata. Nie można tezy o silnym przyroście naturalnym stawiać hierarchicznie wyżej od procesów gospodarczych. Takiego naczelnego celu w hierarchji celów nie może być. Możemy natomiast na naczelnem miejscu postawić siłę i rozwój państwa, ale w takim razie w hierarchji zagadnień procesy ludnościowe i procesy gospodarcze znajdują się na jednej płaszczyźnie.

Ale procesy demograficzne są trudne do kierowania, jest w nich żywiołowość. To też istnieje dla ekonomisty i dla techników ciągłe zadanie zwiększania dochodu społecznego dla przeciwdziałania pauperyzacji.

Im słabszy jest przyrost naturalny, tem trudności dla ekonomisty i technika mniejsze. Jeżeli w Polsce roczny przyrost naturalny od r. 1930 do r. 1934 spadł o 100.000 osób, to nasilenie problemów nad któremi technik i ekonomista pracują jest, że tak powiem, o pół miljona osób mniejsze. Niechżeż więc pracują ekonomiści i technicy nad gospodarstwem polskiem, aby wyrównać jaknajprędzej skłócenia równowagi gospodarczej, zatrudnić niezatrudnionych i przygotować gospodarstwo polskie na wchłanianie młodych, zdrowych, wykształconych pokoleń.

I jeszcze jedno. Problem jest bardziej skomplikowany, jeżeli weźmiemy pod uwagę nietylko ogólną liczbę przyrostu naturalnego, lecz zróżnicujemy to warstwami. Znanem jest zjawisko bardzo niskiej stopy urodzeń w małżeństwach inteligencji pracującej (vide notatka w „Gosp. Nar." Nr. 8 r. 1932). Przyczyna ma charakter ekonomiczny. Ten proces grozi nam spadkiem kultury o ile nie stworzymy przeciwdziałania. W polityce populacyjnej równie ważne jest zagadnienie jakości człowieka, jak i jego ilości.

a. k. i.

T. ZW. INTERES PUBLICZNY

Ustawa przemysłowa, którą znowelizowano przed rokiem, posiłkuje się raz po raz pojęciem „interesu publicznego". Czyni to w sposób wielostronny: w art. 8, 10 i 12 mówi o systemie koncesyjnym, w art. 14, 16 i 25 porusza kwestję zatwierdzania budowy i urządzenia tudzież kierownictwa przedsiębiorstw przemysłowych t. zw. wolnych, w art. 73 i 167 f) uwzględnia zrzeszenia i związki przemysłowe i rzemieślnicze, wreszcie w całym szeregu artykułów, od art. 144 począwszy, rozwija koncepcję swoistego koncesjonowania rzemiosła. Wyliczone artykuły wskazują, w jakich dziedzinach szukać należy związku pomiędzy nakazem czy zakazem władzy przemysłowej a t. zw. interesem publicznym.

Pozostawiając na boku specjalne zagadnienie koncesjonowania pracy rzemieślniczej, opartego na „dowodzie uzdolnienia", chcemy słów kilka poświęcić kryterjom i zakresowi interesu publicznego w przemyśle wolnym i koncesjonowanym. Interes publiczny nosi przytem rozmaite nazwy: raz jest nazywany „wyższym interesem publicznym" (coś w rodzaju „suprema lex"), to znowu rozumie się przezeń „względy gospodarcze" (art. 73) lub „interesy gospodarcze" (art. 167 f); w ustawie o stowarzyszeniach wspomniano o „względach pożytku społecznego". Rozmaicie też potraktowano kwestję instancji, decydującej o istnieniu i wpływie interesu publicznego: może to być Rada Ministrów (art. 12 pr. przem.) lub Minister Przemysłu i Handlu (art. 73 i 167 f), ale może być również urząd wojewódzki (art. 25) lub starostwo (art. 8, 14 i 16).

Najciekawiej przedstawiają się kryterja i zasięg interesu publicznego od strony przepisów o przemyśle koncesjonowanym. Ustawodawca, wprowadzając w 1927, a nowelizując (uzupełniając) w 1934 r. art. 8 ustawy przemysłowej, miał na myśli bądź obronę konsumenta (pkt. 1, 2, 6, 7 i 12), bądź względy hygjeny publicznej (pkt. 10 i 13), bądź momenty bezpieczeństwa publicznego (pkt. 1, 3, 4, 14 i 15), bądź wreszcie specjalne interesy państwowe z dziedziny, powiedzmy, obrony kraju (pkt. 3—5, 9, 14 i 15). Już z tego wyliczenia widać, jak daleko poszedł ustawodawca w rozumieniu słów: „interes publiczny“. Nie chodziło zatem jedynie o „interes państwowy i bezpieczeństwo publiczne“, uzasadniające ustanowienie ograniczeń co do wyboru i sposobu prowadzenia przemysłu. Autorzy ustawy przemysłowej kierowali się ponadto względami ochrony konsumenta, a więc np. zakładanie instalacyj wodociągowych, czyszczenie kominów, lub prowadzenie hotelu mogą być dozwolone tylko tym osobom, które gwarantują, że nie narażą na szwank interesu tak publicznego, jak i prywatnego. Jasną jest rzeczą, iż dochodzenie szkód i strat, spowodowanych przez nieudolnego elektrotechnika, instalatora wodociągowego lub kominiarza, nie da większych rezultatów dla powoda prywatnego, aniżeli w wypadku poszukiwania sprawiedliwości z racji niedbalstwa lub złej woli szewca, ślusarza lub właściciela pralni chemicznej. Podkreślić przytem należy, iż konsument nie odróżnia i nie usiłuje odróżnić pracownika czy przedsiębiorcy koncesjonowanego od niekoncesjonowanego, a w wyborze swym kieruje się zazwyczaj jego wiedzą fachową i — co więcej — ceną usług i świadczeń.

Pozostałe motywy (hygjena publiczna, bezpieczeństwo publiczne i ujęta ściśle obrona kraju) tworzą kryterja, którym trudno odmówić uzasadnienia. Udzielenie koncesji na budowę fabryki amunicji lub samolotów jest zrozumiałe same przez się; nie można zaprzeczyć celowości koncesjonowania biur podróży i t. zw. wywiadowni kredytowych słabiej natomiast przemawiają względy hygjeniczne, gdyż zbieranie szmat lub przemysł oprawczy mogą być poddane surowej kontroli podobnie, jak się to dzieje z wytwórniami artykułów, mających brzydki zapach, sprzyjających szerzeniu się chorób itp.

Tak czy inaczej, rozumiemy większość przyczyn, dla których zdecydowano się w Polsce zastosować zachodnio - europejskie zasady koncesjonowania kilku rodzajów przemysłu. Mówimy: kilku, gdyż enumeracja, zawarta w art. 8 pr. przem., jest szczupła, daleko szczuplejsza od dawnej ustawy austrjackiej, rozciągającej system koncesyjny na 40 zgórą rodzajów przemysłu i handlu. Zresztą polska ustawa nie odbiega od metod, stosowanych, w krajach, które uchodziły doniedawna za ostoję liberalizmu. Szwajcarja koncesjonuje handel starzyzną, przedsiębiorstwa przewozowe, przewodników, posłańców (u nas w r. ub. wprowadzono do art. 8 — tragarzy) itp.; Anglja obowiązek koncesji rozciągnęła na hotele, pensjonaty i jadłodajnie (te ostatnie projektowano koncesjonować w swoim czasie i w Polsce), wytwórnie nawozów sztucznych, lombardy i również kominiarstwo; Francja zainteresowała się koncesjonowaniem handlu środkami leczniczemi i starzyzną; we Włoszech m. in. zakłady kąpielowe wymagają koncesji. Utyskiwania, jakie słyszeliśmy w r. ub. z trybuny sejmowej przy dyskusji nad nowelizacją prawa przemysłowego, są więc niewątpliwie przesadzone i dają się uzasadnić chyba tylko niechęcią pewnych kół czy grup społecznych już nie do reglamentacji, ale do prawnego uporządkowania niektórych kwestyj, związanych z wykonywaniem przemysłu.

A jednak zasady, na których opiera się argument o „interesie publicznym“, nie zawsze są tak jasne i przekonywujące, jak to mieliśmy możność częściowo stwierdzić przy art. 8 pr. przem. Bo cóż z tego, że przemysły, wymienione w art. 8 dadzą się naogół wyinterpretować zgodnie z założeniami interesu państwowego czyli obrony kraju i względów na bezpieczeństwo publiczne, kiedy już art. 10 mówi o możności odmówienia koncesji „ze względu na interes publiczny“ bez wyjaśnienia, co się przez te słowa rozumie, art. 12 zaś pozwala z tych samych niesprecyzowanych przyczyn rozszerzyć listę przemysłów, podlegających koncesjonowaniu. Jeżeli ustawodawca powoływał się na konieczność ochrony życia i mienia, to nie można było sprzeciwiać się korzystaniu przez władzę przemysłową z uprawnień, danych jej przez art. 14, 16 lub 25 pr. przem. Ale jeżeli do art. 8 Rada Ministrów może wstawić przemysł, dajmy na to, tłuszczowy i powiedzieć, że koncesjonowanie tego przemysłu uzasadnione jest „interesem publicznym“, gdy w rzeczywistości chodzi o — słuszny skądinąd — interes rolnictwa, albo jeżeli w art. 73 poleca się odmówić zatwierdzenia statutu zrzeszenia przemysłowego, skoro jest ono „niepożądane ze względów gospodarczych“, gdy de facto wchodzą w grę interesy tych czy innych grup, instytucyj itp. — to posiłkowanie się tak szerokiem i tak zobowiązującym hasłem musi budzić zastrzeżenia i wątpliwości. Brak skonkretyzowania pojęcia „interes publiczny“, danie prawa rozciągliwej interpretacji tych dwuch słów. i jednocześnie wypełnianie znacznie węższą treścią (np. grupową) tego pojęcia o charakterze „salus Reipublicae...“ — wszystko to prowadzi na niebezpieczne manowce albo sprzyja powstawaniu pokus dla biurokracji, która nie panuje dostatecznie nad skomplikowanym mechanizmem życia gospodarczego.

Jest rzeczą nader ciekawą, a wymagającą odrębnych rozważań, że w Polsce z trudem wymawia się słowa: „interes klasowy“, „interes grupy“ etc.; zato z wielką łatwością używa się słów: „interes publiczny“. Nadmiar wstydliwości w tym względzie (nadmiar, zresztą zbyteczny) wpływa na zamazanie linji granicznej pomiędzy interesem klasowym, grupowym, nawet indywidualnym — a interesem, mówiąc ściśle, państwowym. Co więcej — do tego zamazania przyczynia się nietylko prawo przemysłowe, ale jeszcze ponadto szereg ustaw specjalnych, dzięki którym np. wprowadzono obowiązek uzyskiwania koncesji na przewóz osób i towarów pojazdami mechanicznemi, podyktowany

pozornie „interesem publicznym", wynikający zaś de facto z ochrony interesów PKP.

Reglamentacja życia gospodarczego nie jest tak straszna, jak to się na pierwszy rzut oka wydaje. Ale nie trzeba wpadać w drugą ostateczność, rozciągając pojęcie „dobra publicznego-" na mniej ważne i bynajmniej nie generalne potrzeby. Demoralizuje to administrację, i producenta, a interesów t. zw. osób trzecich bynajmniej nie chroni.

br.

SZEWCY

Czytelnika, którego zaciekawiła uwaga pod powyższym tytułem z ostatniego numeru „Gospodarki", zainteresują zapewne następujące dodatkowe wyjaśnienia i sprostowania:

Podana przez „Rzemiosło" organ Związku Izb Rzemieślniczych cyfra produkcji obuwia w Polsce w wysokości 15 miljonów par, jest zupełnie dowolną i obejmuje zarówno obuwie skórzane jak i gumowe. Dawniej „zgadywano", że sama produkcja obuwia skórzanego wynosiła tyle. Z urzędowych statystyk wiadomo tylko, że mechaniczna produkcja obuwia skórzanego i tkaninowego na podeszwie skórzanej wynosiła w roku 1929 par 1.735.000, w roku 1934 par 2.072.000, podczas gdy w tym samym czasie ilość skór podeszwowych sprzedanych przez garbarnie wzrosła z 10.594.000 kilogramów na 12.759.000 kg., a ilość obuwia tkaninowego na podeszwie gumowej typu sportowego i ludowego spadła z 6.578.000 par na 5.104.000 par. Jeżeli zważyć, że część obuwia skórzanego robiona jest jeszcze na podeszwach gumowych, że w roku 1929 nie było jeszcze fabryki Bata, a w roku 1934 wyrabiała ona około 800 — 1.000.000 par obuwia skórzanego na podeszwie skórzanej i gumowej i tkaninowego na podeszwie skórzanej oraz prawdopodobnie drugie tyle obuwia tkaninowego na podeszwie gumowej, to stwierdzimy, że nie rzemiosło, a krajowe fabryki obuwia musiały zmniejszyć swoją produkcję.

Zestawienie to podaję dlatego, że powszechnie popełnia się błąd przy ocenie bolączek rzemiosła szewskiego, przez traktowanie w czambuł wszystkich mechanicznych fabryk obuwia. Zjawiska, na jakie szewstwo się może uskarżać, są złączone li tylko z dokonywującą się w czasie kryzysu okupacją rynku obuwianego przez kapitały zagraniczne. W ciągu ostatnich czterech lat powstało w Polsce w przeszło 100 miejscowościach ponad 120 sklepów filjalnych kapitału zagranicznego, które całkowicie zmieniły położenie na rynku. Sklepy te posiadając oparcie o poważne kapitały, posługują się intensywną, nowoczesną reklamą i są pierwszorzędnie zaopatrzone w bogaty wybór. Na obie te rzeczy nie stać zupełnie zubożałego handlu polskiego. Konkurencja tego handlu z podobnemi sklepami filjalnemi staje się możliwą tylko wtedy, jeżeli zaofiaruje on publiczności ceny tańsze od tych sklepów filjalnych o 5 — 10% minimum. Wobec małych obrotów naszego handlu, koszt jego pośrednictwa obciążający jednostkę towaru jest wyższy, aniżeli w zagranicznym koncernie. Wszystkie te czynniki razem, łącznie z szeregiem jeszcze innych, składają się na to, że cena płacona producentowi musi być ceną dosłownie głodową. Nie dość na tem jednak. Ceny detaliczne są utrzymywane przez kapitał zagraniczny na takim właśnie poziomie, że po odjęciu od nich, tych 5 — 10% potrzebnych, by handel polski mógł konkurować z zagranicznemi sklepami filjalnemi, (nawet przy zupełnie nieludzkim wyzysku wobec producenta) tylko bardzo wielki kupiec może powiązać koniec z końcem i nawet zarabiać, jednak kupiec średni i mały, a tych jest 99% zjada wprzód kapitały własne, potem narusza kapitały dostawców, zarywa perjodycznie lub codziennie wierzycieli, zaczynają się istne orgje szykan, sporów, nadużyć i oszustw wzajemnych i wobec klienteli.

System walki kapitału zagranicznego ogranicza się do tego, by w olbrzymiej swej sieci sprzedaży detalicznej natężenie reklamy i wysokość cen utrzymać na takim właśnie poziomie, a nie wyższym, który jemu samemu pozwala akurat powiązać końce, jednak handel polski i produkcję polską zmusza do wykończenia się własnemi rękami. Jedyną dobrą analogją może tu być sieć pajęcza.

Innemi słowy, krzyk szewców jest uzasadniony, podobnie jak uzasadnione jest rzucanie się muchy złapanej przez pająka i systematycznie ale powoli przezeń wysysanej. W miarę trwania walki mucha słabnie a pająk krzepnie. Słabnącej musze może się wydawać, że ją opadło aż kilka pająków, bo przesunęły się proporcje sił. Widok złapanego komara, może jej kazać dopatrywać się w komarze również sprawcy swego nieszczęścia, pomimo że pająk wysysa komara jeszcze szybciej od muchy. — Ale dajmy spokój przenośniom.

Ciekawostką dla gospodarczej opinji publicznej może być jeszcze wiadomość, że krajowe fabryki obuwia mechanicznego już przed laty i ostatnio znowu, zaoferowały rzemiosłu i czynnikom rządowym zobowiązanie się na szereg lat do niezwiększania swej produkcji ponad to, co w sumie było ich normalną produkcją poprzednio. Jedynie kapitał zagraniczny odmawia takiego zapewnienia. Wzamian za takie zobowiązanie przemysł krajowy domagał się od rzemiosła i czynników urzędowych tylko podjęcia takiej akcji, która ustali granice swobodnej ekspansji czynnikow obcych, na poziomie, który produkcji i handlowi pozwoliłby na kalkulowanie, zamiast koniecznej obecnie spekulacji w ciemnościach. Niestety rzemiosło jeszcze tak mało trzeźwo i samodzielnie umie myśleć, że raz po raz jakieś nieobliczalne jego wyskoki, lub długotrwała bezczynność niweczą wszelkie wysiłki współpracy.

Rzemiosło szewskie samo jeszcze nie zdefinjowało własnej osoby. Nie wie ono jeszcze, czy rzemieślnikiem zasługującym na obronę i będącym celem wszelkiej akcji ma być tylko majster, który pragnie usunąć przemysł mechaniczny po to, by mu było łatwiej samemu się zmechanizować, czy też celem akcji jest właśnie szeroka masa ubogich rękodzielników szewskich wogóle, bez względu na to, czy należą do kasty majstrów, czeladników,

pomocników lub uczni, albo pracują zupełnie bez podziału kastowego, jako poprostu chałupnicy. O rzeczy te idzie ukryty wewnętrzny spór, którego echa przewijają się w powziętych rezolucjach i ich uzasadnieniu przez Związek Izb Rzemieślniczych. Sprawy te nie są jeszcze skrystalizowane i zachodzi niebezpieczeństwo, że zamiast walczyć przeciwko wspólnemu złu i spory wewnętrzne odroczyć, panowie ci się wzajemnie wezmą za łby dając otwarte pole kapitałowi obcemu.

Z ogólnopaństwowego punktu widzenia, rzecz jasna, nie może być mowy o jakiemś wspomaganiu polityki nastawionej na zastąpienie kapitalistą majstrem, kapitalisty kupca nakładcy lub fabrykanta, podczas gdy wszystko inne miałoby pozostać po dawnemu. Ogólnopaństwowe znaczenie całej kwestji szewskiej polega bowiem tylko na konieczności rozwiązania na tym odcinku odwiecznego antagonizmu między maszyną i nowoczesną organizacją pracy, a pracą ręczną. Rzemiosło jest ciekawe ekonomicznie li tylko jako antyteza maszyny. By maszyny uruchomił szewc a nie fabrykant, o to nikt rewolucji robić nie będzie.

Z kwestją tą łączy się kapitalne zagadnienie terminatorów szewskich. Według wszelkiego prawdopodobieństwa conajmniej 2/3 rzemiosła szewskiego w Polsce będzie musiało podzielić los rzemiosła innych krajów i zlikwidować się. Względy społeczne nakazują dbałość o to, by proces ten odbył się dostatecznie powoli, jednak odraczać go i przewlekać w nieskończoność nie można. Wobec tego zupełnie słuszny jest postulat niedopuszczania do tego, by młodzież ta obierała za podstawę swej przyszłości skazaną na likwidację dziedzinę pracy i należy odciąć dopływ terminatorów. Z drugiej jednak strony, darmowa praca terminatora i prawie darmowa pomocnika czeladnika, stanowią poważny czynnik potaniający obecną kalkulację szewską, który współdecyduje o zdolności konkurencyjnej rzemiosła w stosunku do Baty wogóle. Dlatego też szewstwo w osobach majstrów samo nawet żali się na niedostatek terminatorów, a chciałoby tylko niedopuścić do wzrostu konkurencji pracy płatnej normalnie. Odciąć szewstwo od dopływu terminatorów, przed uporaniem się z kwestją Baty, byłoby równoznaczne z przyśpieszeniem ruiny rzemiosła. Zgodzić się na dopływ świeżych sił młodocianych oznaczałoby przeznaczyć na mięso armatnie w toczącej się wojnie pracy ręcznej z maszyną, zamiast pokolenia obecnego dorosłego, następne pokolenia młodsze. Nie powinniśmy jednak opierać naszej polityki gospodarczej na tem, by wszystkie koszta i skutki własnej obecnie naszej niezaradności przerzucać na pokolenia przyszłe, znajdujące się i tak w tragiczniejszem od naszego położeniu.

Władysław Diamand.

MAREK BREIT

SMUTNA POLEMIKA

W ostatnich czasach ukazały się w czasopismach polskich dwa artykuły pióra Dr. Buczkowskiego, poświęcone teorjom rozwijanym w mojej pracy p. t. „Stopa procentowa w Polsce"[1]). Fakt zainteresowania się (aczkolwiek z dość znacznem opóźnieniem) publicystyki ekonomicznej, zasklepionej szczególnie o ile chodzi o problemy pieniężno-kredytowe w ciasnem podwórku doraźnych kłopotów bieżącej polityki ekonomicznej, zagadnieniem tak doniosłem i ogólnem jak problem reglamentacji stopy, należałoby uznać za zjawisko wysoce pocieszające. Niestety, bardziej pesymistycznie nastraja charakter tych wystąpień, który postaram się w dalszym ciągu oświetlić.

Zanim przejdę do szczegółów, chciałbym jednak scharakteryzować swój ogólny pogląd na kwestję reglamentacji w Polsce. Pan Dr. Buczkowski pasował mnie w swych artykułach na herolda nietylko idei wolnego kształtowania się stopy, ale i liberalizmu, szkoły krakowskiej oraz wielu innych haseł polityczno - gospodarczych, które same w sobie w najwyższym stopniu godne szacunku, nie mają jednak z wyrażonemi w mej książce poglądami zgoła nic wspólnego. Parę więc słów wyjaśnienia dla czytelnika zdezorjentowanego artykułami dr. Buczkowskiego.

I.

Wyszedłem w swej książce z założenia, że w Polsce istnieje reglamentacja zarówno w obrocie bankowym jak i pozabankowym. Pozatem opierając się na fakcie, że istnieje u nas znaczna rozpiętość stóp pomiędzy różnemi kontrolowanemi stopami z jednej strony, oraz pomiędzy najwyższą ze stóp objętych faktyczną kontrolą, a stopą t. zw. wolnego targu z drugiej, doszedłem do wniosku, że możliwe to jest jedynie dzięki stosowaniu na obszarze całej kontrolowanej połaci rynku systemu kontyngentów. Przyjmując te dwa zjawiska za dane, oraz uczyniwszy dodatkowe ustalenie co do metody przeprowadzenia u nas reglamentacji, usiłowałem włączyć te „frykcje" w schemat t. zw. „normalnego" rynku kredytowego. Muszę tu odrazu podkreślić zasadnicze nieporozumienie, jakie wkradło się do rozumowania p. B. w związku z tem pojęciem. Wydaje mu się mianowicie, że „normalny" układ rynku kredytowego w mojem ujęciu, to układ przeważający w krajach zachodnio-europejskich. Nic podobnego. Fakt, że p. B. mógł wogóle wpaść na podobną interpretację, świadczy o tem, że albo nie przeczytał, albo nie zrozumiał pierwszej części mej pracy, w której poświęcam wiele miejsca temu za-

---

[1]) „Reglamentacja stopy dyskontowej" — S. Buczkowski „Gospodarka Narodowa" Nr. 1 z r. 1935, oraz tegoż „Reglamentacja stopy procentowej w Polsce", „Bank", Nr. 2, 1935.

gadnieniu. Rynek „normalny“ u mnie. to rynek gdzie: 1) jedynym środkiem regulacji popytu jest stopa procentowa. 2) bank emisyjny utrzymuje stopę nieco ponad poziomem stopy rynkowej. Rynki w różnych krajach odbiegają oczywiście od tego idealnego układu; każdy z nich jest bowiem wytworem szeregu odrębnych, właściwych tylko danemu krajowi stosunków instytucjonalnych.

Otóż w ten tak pojęty idealny układ rynkowy wbudowuję „frykcje“ właściwe polskiemu gospodarstwu pieniężno - kredytowemu i na tej drodze dochodzę metodą dedukcyjną do sformułowania głównych zasad funkcjonowania rynku kredytowego w Polsce.

Z tego, że reglamentację i kontyngenty traktuję jako wynik ingerencji, jako coś danego z zewnątrz, nie można wyciągać absolutnie żadnych wniosków ani co do mojego liberalistycznego światopoglądu, ani co do mojego stosunku do innych idej polityczno - gospodarczych. Teorja nie zna dotąd innej metody analizowania konkretnych sytuacyj, jak tylko przez wciąganie ich w charakterze nowych dat do schematu ogólnej równowagi (metoda warjacyjna). Liberał, etatysta, czy zwolennik gospodarki socjalistycznej musieliby postępować w ten sam sposób, gdyby tylko chcieli trzymać się metod ścisłej teorji. Odmienną drogą mógłby kroczyć tylko empiryk, któremu wystarcza wymowa „doświadczeń“ i „faktów“ (jakgdyby istniały fakty nie będące teorją!).

Tylko na gruncie kompletnego chaosu i pomieszania wszystkich pojęć formalnych i merytorycznych mogło wyrosnąć przekonanie, jakobym zwalczał reglamentację rynku kredytowego i opowiadał się za przywróceniem wolnej stopy rynkowej. Stwierdzam, że wogóle w tym kierunku nie wypowiadałem się. Już z samego sposobu stawiania przeze mnie problemu wynika zresztą, że materjał przezemnie otrzymany musiał okazać się pod tym kątem niedostateczny. Starałem się przez stosowanie teorji zanalizować skutki reglamentacji, przejawiającej się zarówno w zmianie mechanizmu samego rynku kredytowego jak i w modyfikacji ogólnego przebiegu gospodarczego. Z tego, że otrzymane przeze mnie wnioski mają charakter dość pesymistyczny, nic jeszcze nie wynika; nie wynika w szczególności wyższość stanu wolnej stopy rynkowej nad reglamentacją. Tego rodzaju porównania można snuć tylko, jeśli się zna: 1) te typowe frykcje, które zwykły wytwarzać się naogół na każdym wolnym rynku, 2) przyjmując obecny stan za punkt wyjścia, także te wszystkie zaburzenia, które powstać musiałyby na tle likwidacji już istniejącej reglamentacji, 3) pewną hierarchję celów polityczno - gospodarczych, bez której uzgodnienia sam problem jest bezsensowny. Całym splotem tych zagadnień w ogólności nie zajmowałem się. Tylko niezrozumienie problemu może mi jakieś rozwiązania w tym kierunku sugerować.

II.

Po tych ogólnych uwagach, przechodzę do rozpatrzenia poszczególnych zarzutów i twierdzeń p. B.

1) P. B. zarzuca, że nie można wogóle wyników teorji stopy procentowej stosować do zagadnień polskiego rynku kredytowego. Zdaniem p. B. „nasze podmioty gospodarki odznaczają się zbyt dużą prymitywnością rozumowania, by rządzić się zgodnie z racjami tego wymaginowanego homunculusa ekonomicznego. Gdy jest kredyt, to się go bierze pełną garścią, bez oglądania się na możliwości rentownego zatrudnienia kapitału“. Stopa procentowa nie ma z tem nic wspólnego, stanowi czynnik wobec dyspozycji gospodarczych całkowicie obojętny.

Jak widzimy, mamy tu przed sobą całą oryginalną koncepcję teoretyczną, sięgającą do podstawowych hipotez nauki ekonomicznej. Nie twierdzę, że ta „teorja“ p. B. jest błędna. Jest jednak tak wysoce niekompletna, że w obecnym stanie trudno z nią polemizować. Autor musiałby uprzednio wyjaśnić parę dodatkowych problematów czytelnikowi znacznie od niego mniej zorjentowanemu w tajnikach psychiki „polskich podmiotów gospodarczych“. Przedewszystkiem chodziłoby o stwierdzenie, czy nasz homo oecononomicus zajmuje tak lekkomyślną postawę, pełną pogardy dla zasad racjonalnej kalkulacji jedynie przy zaopatrywaniu się w siłę nabywczą na rynku kredytowym, czy też stosuje analogiczne zasady również przy zatrudnianiu robotników, zakupnie surowców i t. p. Od tego, czy oryginalność narodowa polaków w dziedzinie kalkulacji ogranicza się według dr. B. jedynie do sfery kredytów, czy występuje także przy używaniu wszystkich innych elementów wytwarzania, zależy zasięg rewizyj, które będziemy zmuszeni podjąć na podstawie tych inowacyj w dziedzinie „polskiej“ teorji ekonomicznej.

2) Panu B. „trudno dopatrzeć się ścisłego związku między reglamentacją stopy od kredytu a oprocentowaniem wkładów“, o którem u mnie jest mowa. Mam wrażenie, że do tego, by dojrzeć ów związek nie trzeba bynajmniej uciekać się do teorji ekonomicznej. Wystarczą wstępne wiadomości z buchalterji.

3) Dalsze zarzuty formułuje dr. B. w następujący sposób: „Autor stopę procentową Banku Polskiego uważa za nieproporcjonalnie niską, ale w stosunku do czego? Słusznie zauważa w jednem miejscu, że istnieje u nas kolosalna premja za ryzyko, która podraża koszt kredytu. Autor oczywiście nie próbuje obliczyć wysokości tej premji“. Wyjaśniam, że stopę Banku Polskiego uważam za zbyt niską wobec tej stopy, która ukształtowałaby się, gdyby cała nasza istniejąca podaż kredytu ofiarowana była w drodze wolnokonkurencyjnej na rynku. W mojej pracy wielokrotnie i obszernie sprawa ta została omówiona.

Co się tyczy premji za ryzyko, przyznaję, że nie próbowałem jej obliczyć. Ale naprawiam swój błąd. Tylko upraszam o zachowanie tej wiadomości w najściślejszej tajemnicy. Premja za ryzyko waha się u nas w granicach od 0 do 100%, w zależności od momentów, których z braku miejsca nie będę szczegółowo wyliczał. O ile idzie konkretnie o ryzyko zawarte w kredycie banków prywatnych, którym państwo narzuca stopę maksymalną, (bo jedynie w tym związku zajmuję się tą kwestją), to, niestety, nie mogę dostarczyć równie ścisłych obliczeń. Stopa od ryzyka jest bowiem niejednolita.

Banki muszą udzielać kredytu klientom o wysoce zróżnicowanej stopie ryzyka. Zaczynając od klientów najlepszych, zmuszone są one dopuszczać stopniowo coraz gorszych, gdy okaże się, że ci najlepsi nie potrafią wchłonąć całej istniejącej podaży. Sprecyzować więc można tylko teoretyczną wysokość ryzyka granicznej klienteli. Może ono równać się najwyżej różnicy pomiędzy stopą debetową a stopą wkładową plus koszty handlowe. Gdyby premja za ryzyko jakiejś tranzakcji miała być wyższa od tak obliczonej, to bank musiałby wstrzymać się od jej finansowania.

4) P. B. zwalcza pogląd, jakoby manipulacje stopą procentową dawały efekt, który im przypisuję, t. zn. aby zwyżka stopy obniżała ceny a jej zniżka ceny śrubowała do góry. Według p. B. „dowiedzionem jest, że zwyżka stopy dyskontowej w celu zduszenia popytu na kredyt, powoduje zwyżkę cen, utrudnia działalność solidnych przedsiębiorstw“ i t. d. W interesie rozwoju teorji ekonomicznej byłoby pożądane, gdyby dr. B. zechciał ten dowód zdradzić. W teorji ekonomicznej uchodzi już od dziesiątków lat za ustalony kanon, iż zwyżka stopy powoduje zniżkę cen, a zniżka — wzrost. Przy wyższej stopie przedsiębiorcy absorbują mniejszą ilość kredytów, mniejsza suma kredytu oznacza skurczenie popytu, a spadek popytu powoduje redukcję cen. (Nie wyłącza to, rzecz jasna, że „polscy“ przedsiębiorcy p. B. mogą czynić odwrotnie).

5) Uczy nas p. B., iż „w krajach anemicznych kapitałowo“ musi istnieć system kontyngentowania, bo bez tego nie mógłby Bank emisyjny tworzyć sztucznych kredytów, które w krajach tych są niezbędne. Trudno przypuścić aby p. B. nic o tem nie słyszał, że można kreować inflacyjną siłę nabywczą przez samo sztuczne duszenie stopy procentowej poniżej poziomu stopy popytu i podaży. Kontyngenty nie mają z tem nic wspólnego. Jeśli wyjść od danego poziomu stopy, to kontyngentowanie stanowi tylko hamulec dla inflacji. Kontyngenty nie stwarzają bowiem dodatkowej klienteli dla banku, a jedynie eliminują zgóry część z pośród tych kredytobiorców, którzy gotowi byliby zapłacić obowiązującą stopę procentową. W obrębie istniejącej stopy działają więc zawsze deflacyjnie a nie inflacyjnie.

6) Zwalcza p. B. w dalszym ciągu wysuniętą przeze mnie tezę, że rynek kapitałowy w Polsce jest sztucznie forsowany przez państwo, pomimo, że tendencje na rynku kredytu krótkoterminowego nie uzasadniają jeszcze tak silnego rozrostu kredytu długoterminowego. Zdaniem p. B. dominancja kredytu długoterminowego w Polsce „wynika z naturalnych potrzeb naszej gospodarki.“ „Z każdym rokiem — podkreśla p. B. — trwam coraz silniej w przekonaniu, że nasza gospodarka potrzebuje względnie małego volumenu krótkoterminowych kredytów obrotowych: typ naszej gospodarki skazuje nas na względnie długie „okrężne drogi produkcji“ i stąd nacisk powinien być położony na rozbudowę kredytu średnio- i długoterminowego. Wynika to nieuchronnie z naszej struktury gospodarczej“. Trudno w tak niewielu zdaniach posiać równie wiele zamętu. Przedewszystkiem jedna uwaga. P. B. używa pojęcia „długich okrężnych dróg produkcyjnych“ w sposób świadczący o niezrozumieniu go. Sądzi, że pokrywa się ono z pojęciem kredytu długoterminowego. Dał się zasugerować przymiotnikiem „długi“, który — należy to objektywnie podkreślić na usprawiedliwienie p. B. — występuje rzeczywiście w obu pojęciach. Niestety, ekonomja niezawsze da się zrozumieć od strony gramatyki czy etymologji. Przez „długie okrężne drogi produkcji“ teorja ekonomiczna rozumie produkcję wysoce kapitalistyczną, zużywającą wiele kapitału w stosunku do pracy. Mniejsza o to, czy ten termin, wprowadzony do nauki przez Böhm Bawerka, jest bardzo szczęśliwy. Ale pewne jest, że nie ma on nic wspólnego z kwestją formy kredytu krótko- czy długoterminowej, w jakiej przedsiębiorca otrzymuje do dyspozycji siłę nabywczą. A teraz dalej. Nie wiem, jakie to właściwości naszej struktury gospodarczej „skazują“ nas właśnie na długie okrężne drogi produkcyjne. Sądząc z całego toku rozumowania p. B., ma on tu na myśli charakter agrarny naszego gospodarstwa. Otóż znów trudno o większe nieporozumienie. Rolnictwo, a specjalnie nasze rolnictwo, pracuje metodami o niezwykle małej intensywności kapitałowej. Operuje typowo krótkiemi „drogami produkcyjnemi“. Warunki dla posługiwania się metodami produkcji wysoko kapitalistycznej — jest to nieledwie truizm — stworzyć może jedynie obfitość kapitałów, oraz względnie niski poziom stopy procentowej. Trzeba zupełnego chaosu w dziedzinie podstawowych pojęć z ekonomji, by z jednej strony — jak to czyni dr. B. — mówić o naszej „anemji kapitałowej“ (posuwając się nawet do takiego twierdzenia, jak to, że Polska znajduje się jeszcze w stadjum przedkapitalistycznego rozwoju, w którem „istnieje narazie absolutny (!) brak warunków do tego, by mogło wytworzyć się to, co nazywamy rynkiem kredytowym“), a z drugiej „utrwalać się z każdym rokiem coraz silniej w przekonaniu“, że musimy używać w produkcji właśnie najintensywniejszych pod względem kapitałowym metod wytwarzania.

Nie chcę przedłużać nadmiernie tej bardziej smutnej niż pouczającej polemiki. Jedną jeszcze kwestję chciałbym poruszyć na zakończenie. P. B. zwalcza mój pogląd, jakoby rynek kredytu długoterminowego w Polsce był domeną jeszcze dalej posuniętej etatyzacji, niż nim jest rynek krótkoterminowy. Równocześnie rozwija on w paru zdaniach z wielką swadą całą skomplikowaną teorję, że właśnie brak reglamentacji w dziedzinie kredytu długoterminowego zawinił naszą wysoką stopę rynku lokacyjnego, kredytu krótkoterminowego, oraz wyśrubowany poziom stopy wkładowej i stopy dyskontowej Banku Polskiego. Zaoszczędzam czytelnikom szczegółowej analizy tej „teorji“, która wystawia swemu twórcy raczej świadectwo bujności fantazji, niż ścisłości rozumowania. W każdym razie muszą i tu wchodzić w rachubę jakieś specyficzne właściwości polskiej psychiki gospodarczej, które sprawiają, że „zbyt wysoka stopa rynku lokacyjnego“ (dlaczego zbyt wysoka? w stosunku do czego? Jakie czynniki powodują, że stopa, zdaniem dr. B., idealnie wolna, jest zbyt wy-

soka, a nie kształtuje się na poziomie równowagi? i w jaki sposób przy zbyt wysokiej stopie mogło odbyć się ożywienie konjunktury?) „wywindowała niepomiernie“ cenę kredytów gdzieindziej, zamiast spowodować taki napływ środków do nadmiernie drogich partyj rynku kredytowego, któryby stopę tę zniwelował do poziomu uzasadnionego warunkami popytu i podaży. Pozatem p. B. — raczej nieumyślnie niż umyślnie — przesadza, i to mocno przesadza, o ile idzie o kwestję klienteli emisyjnych instytucyj prywatnych. Suponuje on, że rynek sztywny nie gra tu żadnej roli. P. B. nie orjentuje się widocznie najzupełniej w nasileniu interwencji publicznych instytucyj kredytowych, oraz rozmaitych funduszów publicznych, nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów, w jakich wchłaniają one emisje „prywatnych“ instytucyj. Gdyby zadał sobie trud zajrzenia do bilansu P. K. O., F. O. S. P. oraz instytucyj ubezpieczeniowych, zmieniłby przypuszczam swój nadmiernie apodyktyczny sąd. Również przestudjowanie materjałów, zawartych w ostatnio wydanej pracy prof. Tennenbauma, mogłoby przekonać go o tem, że długoterminowy kredyt emisyjny nie został u nas tak bardzo „puszczony samopas“, jak to się jemu wydaje.

Splotem tych zagadnień nie zajmowałem się rzeczywiście w mej pracy, z czego p. B. robi mi zarzut. Ale nie dlatego, żebym uważał je za nieistotne lub za już rozwiązane. Położyłem nacisk na zjawisko niepomiernie silniejszej etatyzacji rynku kapitałowego niż rynku krótkoterminowego. Wskazywałem dalej, że normalny, kierowany mechanizmem rentowności, przepływ środków z jednego rynku na drugi u nas prawie nie istnieje, a funkcje te przyjmuje polityka państwowa, która stwarza to mniejszą, to większą podaż środków na rynku kapitałowym w zależności nietylko od wytworzonej hierarchji celów, ale także w ścisłym związku z sytuacją budżetową, oraz ze strukturą lokowania oszczędności przez publiczność, od której zależą możliwości finansowe publicznego zespołu kredytowego. Nie znaczy to oczywiście, że badanie środkami teorji ekonomicznej polskiego rynku kapitałowego nie jest i nie będzie nigdy możliwe. Ale znaczy to, że w obecnych warunkach jest ono niesłychanie utrudnione, bo trudności teoretycznej analizy jakiegoś zjawiska rosną zawsze w stosunku proporcjonalnym do ilości nagromadzonych i skupionych dokoła niego czynników frykcyjnych. Na rynku kredytu krótkoterminowego jest nietylko mniej tych momentów frykcyjnych. Co ważniejsze mają one charakter bardziej skrystalizowany. Państwo wytworzyło tu sobie określoną normę polityczno - gospodarczą, której konserwatywnie się trzyma. Zarówno metoda reglamentowania, jak i hierarchja wewnętrzna kontrolowanych stóp jest tu od przeszło 10 lat niezmieniona. Dzięki temu te „frykcje“ dadzą się dodatkowo wprowadzić do uproszczonego schematu teoretycznego jako elementy stałe, a tylko w ten sposób można wielkości historyczne wciągać do teorji ekonomicznej. W dziedzinie rynku kapitałowego fluktuacje polityki ekonomicznej państwa były z rozlicznych względów silniejsze, jej podstawy ulegały ustawicznym zmianom.

A pozatem wchodzi tu w rachubę wysoce niezadowalniający stan ogólnej teorji rynku kapitałowego, który ogranicza możność stosowania jej wyników. Teorja kredytu była dotąd głównie teorją krótkoterminowego kredytu. Teorja rynku kapitałowego i jego związku z rynkiem kredytowym sensu stricto znajduje się dopiero w powijakach.

Tego, że rynek kapitałowy stanowić może wdzięczny temat dla ludzi obdarzonych talentem beletrystycznym, domyślałem się wcześniej, jeszcze zanim zaznajomiłem się z treścią artykułu p. B. Ale rozwiązać ten problemat w sposób teoretyczny (a inaczej, niestety, rozwiązać się wogóle nie da), wykazać jego wewnętrzny związek z procesami kapitalizacji i inflacji kredytowej, odkryć współzależności pomiędzy rynkiem kapitałowym a procesami przebiegającemi wewnątrz rynku krótkoterminowego (jego stopą, strukturą systemu kontyngentów i repartycyj), słowem uchwycić ów niezmiernie skomplikowany mechanizm, jaki wytwarza interwencja państwa bezpośrednia i pośrednia (t. zn. przejawiająca się w kredycie krótkoterminowym) — to, zdaniem mojem, zadanie nietylko niełatwe, nietylko dotąd niezałatwione, ale bodajże nierozwiązalne przy obecnej chaotyczności interwencji, oraz przy małej precyzji instrumentów, których dostarczyć nam może ogólna teorja rynku kapitałowego w swem obecnem stadjum rozwoju.

NOTATKI

AUTOMOBILKLUB EKSPORTUJE

Nie będzie chyba błędu w twierdzeniu, że polityka gospodarcza Trzeciej Rzeszy weszła obecnie w stadjum szczególnie ważne i... szczególnie niebezpieczne. Dotychczas wszystko szło pięknie. Wielkie roboty publiczne, duży stan zatrudnienia, wzrost konsumcji, wysokie ceny. Ale.., ale była jedna pozycja może nie najmniej ważna, która kierownikom polityki gospodarczej Niemiec dawała i daje wiele troski. Jest to pozycja zapasów złota w Banku Rzeszy.

Bo jednak budowa oazy szczęśliwości wśród morza kryzysu kosztuje. Pomimo heroicznych wysiłków uczonych niemieckich, którzy zaprzęgli zdawało się wszystkie siły nieba i ziemi do produkcji nowych wyrabianych w kraju surowców, pomimo ograniczania importu artykułów zagranicznych tylko do najkonieczniejszych — zapasy złota kurczą się, są na wyczerpaniu. Tem samem zmniejsza się możność zapłaty za konieczny import.

Nie pomogły tu układy clearingowe. A nie pomogły poprostu dlatego, że pomimo wszystkich sztuczek z rozmaitemi rodzajami Reichsmarki — Niemcy wciąż jeszcze są zbyt drogie. Poprostu nie

opłaca się z Niemiec importować. Saldo ujemne bilansu handlowego Rzeszy stale rośnie.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest niebywały wzrost należności niemieckich za dostarczone z zagranicy towary. Należności te szacują na pół miljarda marek. Wbrew często wypisywanym twierdzeniom — cena w międzynarodowych stosunkach handlowych odgrywa ciągle jeszcze swą rolę.

Na tle tej tragicznej sytuacji gospodarczej Trzeciej Rzeszy mniej senacyjną wyda się wiadomość, którą podała prasa przed paru dniami o układzie handlowym niemiecko - sowieckim. W układzie tym rząd niemiecki zobowiązuje się do udzielenia kontrahentom sowieckim kredytów do wysokości 200 milj. marek. W Sowietach znalazły Niemcy odbiorcę, który będzie kupował nawet po wysokich cenach... jeżeli będzie chciał. A widać chce...

Trochę to może dziwnie wygląda po tak niedawnej wymianie wzajemnej „rugatielnych" słów. Trochę to może despekt...

Ale dlaczego właściwie rosyjskie surowce i niemiecka technika nie miałyby pracować nad wzajemnym wyścigiem zbrojeń obu krajów?

Potrzeba jest matką kompromisu i... wynalazków. A potrzeba zwiększenia eksportu dla możności zapłacenia importu stoi dziś w Niemczech ponad wszystko. Jak dalece, świadczyć może najlepiej takie małe zarządzenie: wszyscy wyjeżdżający z Niemiec członkowie Automobilklubu niemieckiego zobowiązani są do złożenia uroczystego przyrzeczenia (Eidesstättliche Erklärung), że w czasie pobytu zagranicą skierują wszelkie wysiłki w kierunku propagowania eksportu niemieckiego. A więc uwaga na niemieckich automobilistów: z towarem jadą.

Ktoś, gdzieś, kiedyś w jakiejś okazji powiedział, że sytuacja jest krytyczna, ale... nie jest poważna. Środki popierania eksportu z Niemiec z nieodpartą siłą nasuwają podobne refleksje.

w. d.

PRZYROST NATURALNY LUDNOŚCI w 1934 R.

Ogłoszone niedawno przez G. U. S. cyfry o naturalnym ruchu ludności były już powtórzone i komentowane przez prasę codzienną. Z tego względu powstrzymuję się od omawiania tej sprawy w całokształcie, a ograniczę się tylko do poruszenia jej pod jednym kątem widzenia, a mianowicie w związku z tezą jaką wysunąłem w swoim artykule w Nr. 6 „Gospodarki Narodowej". Wyraziłem tam pogląd, że kryzysowe dysproporcje podziału dochodu społecznego, a w szczególności pokrzywdzenie w tym zakresie wsi, może odbić się ujemnie na przyroście naturalnym. Wymowa ogłoszonych przez G. U. S. cyfr jest następująca: w przeciągu ostatnich dziesięciu lat liczba urodzin na 1.000 ludności malała, ale malała również i śmiertelność ogólna a w szczególności malała śmiertelność niemowląt. Czysty przyrost naturalny malał do roku 1931 powoli a nawet w poszczególnych latach wykazywał wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim. Od roku 1931 spadek przyrostu naturalnego stał się szybszy i stały. Należy zaznaczyć, że od tegoż roku rozpoczął się upadek ilościowy podstawy dochodowej wsi — pogłowia zwierząt gospodarskich.

W roku 1934 liczba urodzeń żywych na 1.000 ludności jest ta sama co i w 1933 — 26,5, a śmiertelność niemowląt wzrosła z 12,8 na 14.1. Tego wzrostu śmiertelności niemowląt nie można tłumaczyć inaczej, jak tylko pogorszeniem się warunków ekonomicznych. Ogólny spadek przyrostu naturalnego w Polsce w 1934 roku nie jest więc wynikiem jakiejś świadomej regulacji urodzeń, ale regulacji „naturalnej" — przez śmierć, powodowaną brakiem środków biologicznej egzystencji.

Zestawienie cyfr liczby urodzin i śmiertelności niemowląt jeszcze bardziej jaskrawo podkreśla powyższy wniosek.

	Liczba urodz. na 1000		Śm. niem. na 100	
	1933	1934	1933	1934
Woj. Centralne	25.2	26.2	12.1	12.4
„ Wschodnie	29.0	28.6	10.9	13.9
„ Zachodnie	25.2	25.1	14.0	14.8
„ Południowe	27.5	26.5	19.6	16.5

Jak widzimy tylko województwa centralne wykazały wzrost liczby urodzeń i te właśnie województwa mają najmniejszy wzrost śmiertelności. *W reszcie Polski widzimy równocześnie niewielki spadek liczby urodzeń i znacznie większy w porównaniu z woj. centralnemi wzrost smiertelności niemowląt.* Największy zaś wzrost tej śmiertelności ma miejsce w województwach wschodnich i południowych, a więc w okręgach czysto rolniczych.

Konsekwencje demograficzne procesów gospodarczych nie zagrażają zatem, jak sądziłem, ale *już są.*

Z. Szempliński.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk Piotra Laskauera, W-wa, Marjensztadt 8, tel. 222-39.